

Festiwale powinny być społecznym tygłem

Fragmenty debaty, która odbyła się w ramach III Jarocińskiego Kongresu Kultury, 14 czerwca 2015 roku, w Spichlerzu Polskiego Rocka w Jarocinie



Malta Festival Poznań, Jezioro Łabędzie, fot. B. Dziamski





Waldemar Kuligowski
 fot. Łukasz Cynalewski/Agencja Gazeta



Jacek Żędzian
 fot. Andrzej Talewicz



Aleksandra Zając
 fot. Dominik Zając

Waldemar Kuligowski: Proszę państwa, mamy do dyspozycji niezwykle doborową grupę gości, organizatorów festiwalu: Jurek Owsiak (Przystanek Woodstock), Michał Merczyński (Malta Festival), Piotr Kolaj (Ostróda Reggae Festival), Aleksandra Zając (Slot Art Festival) i Jacek Żędzian (Rock na Bagnie). Jeśli chodzi o reprezentację ludzi, którzy zajmują się organizacją festiwalu w Polsce, to lepiej być nie mogło. Jak obliczyłem, dodając wszystkie lata organizacji festiwalu, robicie swoje festiwale od 95 lat! To góra doświadczeń. Spróbujemy to zatem z pożytkiem wykorzystać. Na wstępie chciałbym Wam zadać proste pytanie: po co robicie swoje festiwale?

Jacek Żędzian: Festiwal Rock na Bagnie to dosyć młody festiwal, ale z potencjałem. Z każdym rokiem przyjeżdża na niego coraz więcej ludzi. No i jest porównywany do „starego Jarocina”, a to dla mnie nobilitacja. Po co organizuję? Spełniam chyba swoje marzenia z lat młodości. Nie mamy z tego żadnych profi-tów, cały czas staramy się, żeby

festiwal wychodził na zero. Na razie cała ekipa robi ten festiwal dla idei.

Aleksandra Zając: Slot Art Festival ma 20 lat. Od 2001 roku odbywa się w bardzo niezwykłym miejscu, w Lubiążu pod Wrocławiem. To jest taka maleńka wioseczka, gdzie znajduje się jeden z największych w Polsce obiektów pałacowych, dwa i pół razy większy od Wawelu. I stoi pusty. Przez jeden tydzień w roku zjeżdża tam sześć tysięcy ludzi, mieszkają w namiotach wokół tego pałacu i to, co się dzieje w ramach festiwalu, zależy od nich. Główną siłą naszego festiwalu są warsztaty, każdy może zaproponować to, co potrafi i lubi robić, i w ten sposób powstaje program festiwalu. Dodatkowo wydarzenia to sceny muzyczne, kino, teatr... Trochę twórczości, trochę współpracy i trochę współtworzenia.

Jurek Owsiak: Przystanek Woodstock organizujemy od 21 lat. Taką najprostszą formułą jest podziękowanie wszystkim, którzy bawią się razem z nami zimą,

zbierając pieniądze. Impulsy były dwa: amerykański Woodstock w 1994 roku, na który pojechaliśmy, żeby zrobić o tym film dokumentalny, oraz gazeta polonijna z hiobową informacją na pierwszej stronie: „Koniec Jarocina”. I z fotografią faceta z pistoletem. Pomyślałem wtedy: to jest po prostu niemożliwe, żeby się skończył festiwal, w którym dwa razy brałem udział jako współorganizator... I właściwie niechcący to się rozkręciło do takich rozmiarów. To nie było nigdy naszym celem – chodziło o to, żebyśmy się fajnie bawili z całą ekipą. Czymanowo, Szczecin Dąbie, Żary, teraz Kostrzyn. Festiwal jest miłością i częścią pracy naszej fundacji. A jego korzenie, takie najbardziej ukorzenione, tkwią tutaj, w Jarocinie.

Michał Merczyński: Maltę robimy w tym roku po raz 25., więc mamy edycję jubileuszową. Może dodam, że częściowo pochodzę z Jarocina, tu chodziłem do liceum. Kończyłem je w 1980 roku i byłem na pierwszym festiwalu. Po balu maturalnym poszliśmy na koncert Maanam. Osiemna-



Jerzy Owsiak
fot. Marcin Michon



Michał Merczyński
fot. Marcin Oliva Soto



Piotr Kolaj
fot. Edyta Kolaj

stoletni chłopcy w garniturkach przyszli do słynnego amfiteatru. Widzieliśmy, jak punkowcy bili się z ochroniarzami... Malta powstała z kilku powodów. Po pierwsze, chodzi o pewien rodzaj animacji przestrzeni w Poznaniu. Po drugie, to festiwal wielowątkowy: od teatru, tańca, filmu, muzyki do sztuk wizualnych. Jest także wymianą idei. Robimy ten festiwal także po to, by powstawały nowe dzieła: muzyczne, teatralne. Uważam, że festiwal, który tylko zaprasza i prezentuje, nie do końca spełnia swoje funkcje. Już na drugiej edycji Malty Paweł Szkotak i Biuro Podróży zrobili swój pierwszy spektakl plenerowy *Carmen Funebre*, a w tym roku powstaje opera *Czarodziejska góra* Pawła Mykietyna, Andrzeja Chyry, Mirka Bałki i Małgosi Sikorskiej-Miszczuk. Takie projekty są zadaniem dla festiwalu.

Piotr Kolaj: Korzenie Ostróda Reggae Festival sięgają początku lat 80., kiedy w Ostródzie organizowaliśmy przegląd Ost-Rock, czyli lokalną eliminację do Ogólnopolskiego Młodzieżowego

Przeglądu Piosenki. W latach 90. wszystko przeniosło się na kilka edycji do pubu Pakamera. A w 2001 roku, po kilku latach przerwy, władze miasta wyszły z propozycją reaktywacji imprezy. No i zaczęliśmy mozolną pracę. Pierwsze trzy edycje festiwalu, jeszcze pod nazwą Ost-Rock Reggae Festival, odbyły się na dziedzińcu ostródzkiego zamku. W 2003 roku zamek nie był w stanie pomieścić publiczności. Dwa tysiące czwarty rok jest to nowa era festiwalu, przeniesionego na teren opuszczonej jednostki wojskowej. Zaakceptowało nas też środowisko reggae, które jest hermetyczne. Festiwal z roku na rok zaczął się rozrastać.

W.K.: Mam prośbę, żebyśmy już teraz zamknęli foldery reklamowe i porozmawiali o zapleczu. Kto jest organizatorem Waszych festiwali? Z jednej strony mamy przecież fundacje – Fundacja Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, Fundacja Malta, Fundacja na rzecz Rozwoju Powiatu Moneckiego – z drugiej są stowarzyszenia i agencje artystyczne. I jeszcze ciekawy pomysł festi-

walu Rock na Bagnie, który jako organizacja pożytku publicznego może dysponować przekazanym 1% odpisów podatkowych.

J.O.: Woodstock od samego początku był pomyślany jako festiwal darmowy. Dzisiaj festiwal kosztuje około pięciu milionów złotych, a jego sponsorzy są znani. Ale to nie jest tak, że sponsorów łapiemy, mamy pewne określone warunki... Chociażby piwo, które pokazuje się na festiwalu. Pierwszy Woodstock był bez alkoholu i to była klęska. Z każdej dziury wyszedł Polak, który chciał sprzedać alkohol albo podać go drugiemu młodemu Polakowi. W związku z tym piwo jest u nas sprzedawane, ale cały powiat zabrania sprzedawania alkoholi mocnych. I to się sprawdza.

J.Ż.: Nasz festiwal odbywa się w dosyć ubogim regionie Polski, znaleźć sponsorów to karkołomny wyczyn. Czasami się to udaje, ale wystarcza może na zaproszenie jednego zespołu. Pierwsze dwie edycje były zorganizowane za pieniądze z Unii Europejskiej

w ramach współpracy transgranicznej Polska–Litwa. Niestety, ta dotacja się skończyła, trzeba było pomyśleć o czymś innym. Od 2013 roku organizatorem festiwalu jest Fundacja na rzecz Rozwoju Powiatu Monieckiego. To organizacja pożytku publicznego i ktoś z fundacji wpadł na pomysł, że może ludzie będą chcieli przekazywać na festiwal 1% podatku. Nie wszyscy do tego pomysłu podeszli entuzjastycznie. A jednak okazało się, że kilkaset osób tak robi. To są kwoty od siedmiu złotych do, powiedzmy, tysiąca. Urząd miejski w Goniądzu nam pomaga, starostwo powiatowe w Mońkach, sprzedajemy bilety.

A.Z.: Nigdy nie planowaliśmy, że Slot Art Festival się tak rozrośnie. Kiedy nagle zaczęło przyjeżdżać kilka tysięcy osób, to był sygnał, że trzeba to formalizować. Powstało Stowarzyszenie Lokalnych Ośrodków Twórczych, które jest organizatorem festiwalu. To organizacja pożytku publicznego, więc mechanizm 1% też jakoś działa. Bardzo ważne są jednak bilety, bo są trzy ścieżki wejścia na festiwal: można przyjechać i podzielić się swoją pasją, prowadząc warsztaty, można przyjechać jako wolontariusz i można kupić karnet. Osiemdziesiąt procent budżetu powstaje z biletów. Są też sponsorzy, mecenasi, darczyńcy, środki publiczne, w większości jednak impreza jest finansowana z biletów, czyli tworzą ją ludzie, którzy na nią przyjeżdżają.

M.M.: Maltę od 12 lat organizuje fundacja. Struktura finansowania od pierwszej edycji jest taka sama. To środki publiczne,



Rock na Bagnie, fot. Andrzej Talewicz

czyli miasto. Startujemy w konkursach, a jeśli chodzi o urząd marszałka, mamy dotacje roczne. Zdobyliśmy też siedmioletnią dotację unijną. W Starym Browarze jest jedyna w Polsce scena poświęcona tańcowi współczesnemu, która co roku przygotowuje dla nas specjalny program. Piotr Voelkel pomaga nam w budowie „miasteczka festiwalowego”, którym jest Generator Malta na placu Wolności. Środki pochodzące z biletów są znikomą częścią konstrukcji finansowej festiwalu. Budżet to około 5,5–6 milionów złotych, z czego 15–20% to

są środki komercyjne, pozostałe to środki unijne oraz publiczne i sprzedaż biletów.

P.K.: Gmina miejska Ostróda od początku wspiera festiwal na bazie partnerstwa publiczno-prawnego. Formalnie organizatorem jest Positive Music Promotion, miasto to partner finansowy. Budżet kształtuje się na poziomie 1,5 miliona, z czego udział miasta to około 30%. Dziesięć procent to sponsorzy, reszta wpływy z biletów. Cztery czy pięć edycji było finansowanych dotacjami unijnymi.



W.K.: Pozostałmy jeszcze przez chwilę przy pieniądzach, ale w innym wymiarze. Zdaje się, że Waszych festiwalu bez wolontariuszy by nie było; mnóstwa rzeczy nie byłoby dziś bez wolontariuszy. Czy wolontariat stał się częścią kapitalizmu? Przystanek Woodstock to armia wolontariuszy, wyczytałem, że przy Slot Art Festival za darmo pracuje tysiąc osób... Czy Wy nie psujecie polskiego rynku pracy?

J.Ż.: Pięć lat temu, przed pierwszym festiwalem, zaproponowaliśmy Politechnice Białostockiej przyjęcie ich studentów na rozli-

czanie praktyk podczas festiwalu. To chwyciło i co roku mamy dosyć pokaźną grupę studentów z politechniki, którzy przez kilka dni przed festiwalem i w jego trakcie zaliczają dwutygodniowe praktyki. Są z tego bardzo zadowoleni.

A.Z.: Wolontariusze Slot Artu to być może nie jest armia na skalę WOŚP, ale bardziej liczą się proporcje. Bo jeżeli przyjeżdża na festiwal sześć tysięcy ludzi, z czego tysiąc pracuje jako wolontariusze... Dla wielu ludzi to nie jest wolontariat typu przedzieranie biletów, ale na przykład szefowanie kafejce.

W.K.: Czyli wykonują bardzo ciekawą, wymagającą kompetencji i wiedzy robotę i robią ją za darmo...

A.Z.: Często zaczynali od tego, że stali na bramce, po czym zaczynali pracować na dużo bardziej odpowiedzialnych stanowiskach. I często mówią, że dla nich to jest trochę jakby symulacja tego, co chcieliby robić zawsze, hobbystycznie. Przez cały rok zajmują się czymś zupełnie innym, natomiast na Slot Art Festival mają swoje kino albo swoją knajpę.

W.K.: A Pani pracuje za darmo przy festiwalu?

A.Z.: Ja pracuję za darmo przy festiwalu, mam swoje wymarzone kino. To jest moje marzenie, żeby robić to kiedyś też zawodowo, w mieście, na co dzień. A na razie testujemy sobie, jak to może działać, w takim symulatorze miasta, jakim jest Slot Art Festival. Bo festiwal dzieje się przez tydzień w roku, na począt-

ku lipca pod Wrocławiem, ale przez cały rok odbywają się małe Slot Festy w różnych miastach całej Polski.

J.O.: Przystanek Woodstock trwa formalnie trzy dni, ale wolontariusze, którzy tworzą Pokojowy Patrol – to jest 1200 osób – nigdy by sobie nie dali rady z pół miliona publiczności! Dlatego na festiwalu musi być jakość tworzona także w inny sposób. To społeczeństwo obywatelskie, w ramach którego się porozumiewamy. Nasza impreza obsługiwana jest przez zawodowców, na przykład od mycia toalet. Ale Pokojowy Patrol, który jest przez cały dzień, 24 godziny na dobę, to są ludzie, którzy robią to dla własnej przyjemności. Połowa z nich co roku przychodzi do Pokojowego Patrolu, będąc woodstockowiczami. A więc widzą coś, co im się szalenie podoba... Wolontariusz jest podstawą. Wolontariuszy nie było właśnie w Jarocinie, była tylko ochrona, z którą zawsze była spina. A dzięki temu, że jest wolontariusz, jesteśmy wielką rodziną, mamy nasz festiwal.

M.M.: Na Malcie w tym roku współpracujemy z około 90 wolontariuszami. Są jak lekarz pierwszego kontaktu. Wolontariusz powinien wiedzieć, co się na festiwalu dzieje, jak kontaktować się z publicznością, jak z artystami. Od dwóch lat prowadzimy ogrody w różnych częściach Poznania, które działają od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Ludzie, którzy tam sadzą warzywa i kwiaty, działają jako animatorzy kultury przez cały rok.

P.K.: Mam złe doświadczenia z wolontariuszami. Nie do końca

jest tak, że wolontariusze chcą pracować, podejrzewam, że raczej są zainteresowani tym, żeby pobyc na festiwalu. I mnie ten układ nie pasuje, ponieważ jak widzę człowieka, który miał wykonywać pewną pracę, a spotykam go w ogródku piwnym, to tego nie akceptuję. Dlatego od kilku lat na Ostródzie nie pracuje żaden wolontariusz. Organizujemy ten festiwal własnymi siłami, przy produkcji imprezy w ciągu roku pracują trzy, cztery osoby.

W.K.: Festiwale nie dzieją się w próżni – są władze lokalne, politycy, policja, ochroniarze, publiczność, która bywa nieobliczalna. W Czymanowie w 1995 roku były z nią problemy, w Ostródzie w 2003 roku. Jak sobie z tymi trudnymi momentami radzić? Czy można to przewidzieć? Jakie przyjął potem metody działania?

J.O.: Przystanek Woodstock od początku robimy jako dobrą zabawę. W związku z tym musieliśmy się liczyć, że się zetkniemy ze wszystkim, co jest nam nieznane. Pierwszy Przystanek był, można powiedzieć, na zgłiszczach Jarocina, no i zderzyliśmy się z ludźmi, którzy uważali, że powinien to być tylko i wyłącznie Jarocin, co było dla mnie abstrakcyjne. Jesteśmy gdzieś nad morzem, a tutaj jest grupa ludzi, która cały czas krzyczy: „Jarocin, Jarocin!”. Kolejne festiwale to było uczenie się siebie nawzajem. Jako organizator muszę mieć odwagę, żeby przerwać koncert i powiedzieć: „Nie pokazuj palca artyście!”. Jeżeli ci się artysta nie podoba, to idź w drugą stronę. To jest darmowy festiwal, podjęliście decyzję, że przyjeżdżacie do nas i my jesteśmy gospodarzami.

I z tym sobie daliśmy radę. Przez pierwsze cztery lata uczyliśmy publiczność, jakie są zasady. Co nie było łatwe, ale publiczność zmieniła się diametralnie. Przystała być agresywna.

Najbardziej bolesne emocje były, kiedy przyjechał Przystanek Jezus. Dowiedziałem się o tym od dziennikarzy, nikt mnie wcześniej nie poinformował. Początkowo to wywoływało dużo napięć. Ale dzisiaj jest to rzecz piękna – najpierw idzie pochód Kryszny, potem idzie pochód Jezusa, a ja czekam, kiedy oni się zderzą po prostu i w tej radości wszyscy się łączą.

W.K.: Przystanek Jezus bardzo mocno zaznaczył swoją obecność na zeszłorocznej Malcie. Czy z perspektywy roku żałuje Pan, że spektakl *Golgota Picnic* został odwołany? Czy było warto?

M.M.: Najtrudniejszym momentem w historii festiwalu była śmierć aktorki Susan Gandolf w 2002 roku w trakcie spektaklu. Nad jeziorem Malta zawaliła się część scenografii i aktorka mimo reanimacji tego nie przeżyła. Potem przez całą noc z prokuratorem, policją i władzami miasta zastanawialiśmy się, co robić. To był początek. Mieliśmy wstępną ocenę, że doszło do nieszczęśliwego wypadku. Ostatecznie ustaliliśmy, że jednak będziemy festiwal kontynuowali, oczywiście z pewnymi ograniczeniami. Miejsce, gdzie się zdarzył ten tragiczny wypadek, zostało wyłączone. A to największy teren, nad jeziorem Malta, trzeba było przenieść koncerty i spektakle. Sprawa *Golgoty*... zaczęła się na wiele tygodni przed festiwalem od ataku ze strony radykalnych ultrakatolickich ruchów. Im

bliżej było do spektaklu, tym bardziej w sytuację włączali się politycy. Słynne zdanie arcybiskupa Gądeckiego, że tylko ogólnopolskie zamieszki mogą doprowadzić do odwołania spektaklu, to część tej narracji. Odbywały się też narady z udziałem policji i innych służb miejskich, które organizował prezydent miasta, Ryszard Grobelny. Na tych spotkaniach spotykaliśmy się z policją i innymi służbami miejskimi. Policja, która zwykle z nami współpracuje, umyła ręce... Okazało się, że w dniu spektaklu na stadionie Lecha odbędzie się pożegnanie piłkarza Piotra Reissa i ponad 30 tysięcy kibiców ze stadionu przejdzie na teren Międzynarodowych Targów Poznańskich na jakiś bankiet. Policja powiedziała, że nie zabezpieczy okolic Zamku, gdzie miał być pokazywany spektakl. Udostępniono nam także wgląd w intranet trzech klubów piłkarskich, gdzie były scenariusze ataku na Centrum Kultury „Zamek” i na plac Wolności, gdzie stoi Generator Malta. W obliczu tych zagrożeń podjąłem decyzję o odwołaniu spektaklu. Był to jedyny realny powód – realne zagrożenie bezpieczeństwa. Z wroga prawicy stałem się też wrogiem lewicy. Ale był dodatkowy efekt: czytanie tekstu sztuki we wszystkich niemalże teatrach w Polsce, w bardzo wielu miastach w Polsce, wydrukowanie *Golgoty Picnic* w „Gazecie Wyborczej”. Wszystko to pokazało niezgodę na bierność instytucji państwa, które powinny się zachowywać zupełnie inaczej.

J.O.: Ale też czy to nie jest jednak jakaś klęska? Że pogodziliście się z taką decyzją, z wycofaniem się? Ja nie poczułem, żebyś powie-



Slot Art Festival, fot. Ola Zawada

dział: to był pierwszy i ostatni raz, *no pasarán*, już więcej się tak nie zdarzy. Ja bym oczekiwał po organizatorach, że zaczniecie rozmowę o tym, co było, że to, co miało miejsce, jest po prostu haniebne. I nigdy więcej. Lepiej nie robić w ogóle festiwalu, niż się poddać cenzurze. Urzędowo przecież nikt nie zakazał grać *Golgoty...* Społecznie się poddaliście. No sorry, że tak o tym mówię...

W.K.: Ciekawe jest też to, że kibice podpalają squaty, a nigdy nie podpalają kurii albo kościoła.

M.M.: Społecznie się nie poddaliśmy. Zorganizowaliśmy debatę na placu Wolności z udziałem wszystkich stron, które były w zaangażowane w tę sytuację: Rodrigo Garcíą, z ludźmi ze świata kultury i nauki. Prowa-

dzona przez Jacka Żakowskiego debata trwała dwie i pół godziny, wypowiadali się wszyscy, także publiczność. Potem na drugim końcu placu Wolności odbyło się obywatelskie, oddolne czytanie *Golgoty...*

Historia *Golgoty...* to dla Malty trauma, ale nie każdy jest rewolucjonistą. Być może w tym wypadku jestem czeskim pragmatykiem i mówię o tym otwarcie. Nie zdradziliśmy ideałów, tylko pokazaliśmy gdzie jesteśmy jako społeczeństwo.

Festiwal powinien mówić wielogłosem – form i narracji. Od paru lat Malta rozwija się w takim duchu, co roku proponując temat przewodni. Nie oznacza to jednak, że wszystko jest mu podporządkowane. Staramy się dywersyfikować wydarzenia pod kątem oczekiwań wielu grup społecznych.

W.K.: Wróćmy do Ostródy, gdzie w 2003 roku doszło do bijatyki. W jednym z wywiadów powiedziałeś, że odwiedziłeś potem kilkanaście różnych festiwali na świecie, żeby zobaczyć, jak to robią inni...

P.K.: To był jeden incydent w trakcie 15 lat organizacji tego festiwalu. Ostróda Reggae Festival to jest święto muzyki reggae. Tam króluje uśmiech, króluje radość. Gdyby nie ustawa o ochronie imprez masowych, ja w ogóle bym się pozbył ochrony wewnątrz festiwalu. W 2003 roku festiwal odbywał się jeszcze na terenie zamku krzyżackiego. Patronem był pełnomocnik miasta do spraw problemów alkoholowych, więc nie było możliwości nabycia żadnego napoju alkoholowego. Pośrodku, między festiwalem a dyskoteką



Ostróda Reggae Festival, fot. Bartek Muracki

był jedyny sklep alkoholowy. No i gdzieś tam doszło do przepychanek, uczestnicy dyskoteki w stanie mocnego wzburzenia alkoholowego poturbowali kilku uczestników festiwalu i kilku muzyków. Musieli uciekać na zamek. Zamknęliśmy drzwi na zamku, tak jak to kiedyś bywało. Wyrwane były i rzucone kostki brukowe. Wspólnie z burmistrzem podjęliśmy decyzję, że przerywamy koncert. W ramach rekompensaty zrobiliśmy w październiku after, na którym wystąpiły odwołane zespoły. Z czym to się wiązało? Z tym, że do Ostródy, do miasta, gdzie odbywał się festiwal disco polo, przyjechało towarzystwo, które wyglądało zupełnie inaczej. Społeczeństwo na samym początku tego nie akceptowało. W tej chwili od kilku lat zauważam absolutną akceptację. Ludzie zro-

zumieli, że festiwal daje miastu promocję, daje mieszkańcom jakieś pieniądze. Więc od kilku lat ze spokojem patrzę w przyszłość tego festiwalu.

W.K.: A jakie trudne momenty były na Slot Art Festivalu? Bo szcycicie się atmosferą bez używek, bez przemocy, czystymi duszami i umysłami...

A.Z.: Nie mamy doświadczeń tak ekstremalnych i spektakularnych jak duże festiwale. Oczywiście jest borykanie się z zasadami i ich komunikowaniem. To jest zero alkoholu i zero używek na terenie festiwalu. Efekt, który obserwujemy, jest taki, że to jest niesamowicie bezpieczna, przyjazna przestrzeń, do której rodzice przyjeżdżają z małymi dziećkami i nie boją się ich puścić samopas na cały dzień.

Ja nie boję się zostawić sprzętu w swoim namiocie, bo gdy wracam, on tam dalej leży. Myślę, że zachowanie balansu pomiędzy niestaniem się imprezą komercyjną a jednocześnie koniecznością zapewnienia tych rzeczy, których potrzebuje duża grupa ludzi, kiedy przyjeżdża w nowe miejsce, i tym, żeby to miało nadal atmosferę i poczucie swobody we współtworzeniu, to jest nasze największe wyzwanie.

J.Ż.: Zastanawiam się, czy wam zazdrościć, czy może się cieszyć. Bo u nas w ogóle nie było nigdy żadnego incydentu. To bardzo dziwne. Zjeżdża się publiczność punkowa, praktycznie 80% to skini i punki, więc każdy by pomyślał, że to skończy się totalną rzeźnią, a tak nie jest. Nie wiem dlaczego, to jest dla mnie wielką zagadką. Do tej pory. Przyjeż-



21 Przystanek Woodstock, fot. Anna Migda

dża do nas kilka tysięcy ludzi, większość po trzydziestce, po czterdziestce, już się wyszaleli. W Jarocinie pokazali, co potrafią, i teraz już chyba dali sobie spokój. Wolą przyjechać, pobawić się, posłuchać swoich ulubionych zespołów, napić się piwa i wyjechać. Jedyny niebezpieczny moment, jaki pamiętam, był podczas pierwszego koncertu zespołu TZN Xenna. Publiczność bardzo napierała na barierki przed sceną, ochrona była agresywna... Wiedziałem, że jeżeli ochrona nadal będzie ludzi traktować jak bydło, to może dojść do tragedii. Moja decyzja była wtedy szybka: likwidujemy barierki pod sceną i niech publiczność podejdzie pod samą scenę. A ja plus cztery osoby, które od lat są związane ze sceną punkową, ten szal pod sceną opanujemy. I to się udało. Koncert skończył się sukcesem

totalnym. Ochrona obrażona, strzeżona focha, straszono mnie później sądami, że naraziłem sprzęt na zniszczenie. Ale po prostu trzeba znać publiczność, przewidywać jej zachowania i to mi się udało.

J.O.: Jeszcze jedno słowo: chciałem powiedzieć, że tak jak Polska się zmieniła w ciągu ostatnich 25 lat, tak się zmieniła publiczność. Trzydziestoletni punkowiec już swoje przeszedł, teraz chce się zabawić zupełnie inaczej. Same standardy koncertów są nieporównywalnie inne. Na pierwszym Przystanku Woodstock byliśmy dumni, że mamy dwa automaty telefoniczne przybite do desek i karty, które tam trzeba było wykupić. Muzycy byli w barakowozach, w strasznym syfie, bo nie było innego sprzętu. Generalnie festiwale się bar-

dzo zmieniły. Taki festiwal jak Open'er pokazał, że poprzeczka jest wysoko, że jest line-up z najwyższej półki, że są pieniądze, a za tym też idą pewnego rodzaju zachowania. Nam to pomaga. My się cieszymy, że są te festiwale, że ludzie mogą sobie na nie jeździć.

P.K.: Ja jeszcze powrócę do barierki. Mieliśmy też taką jedną niestandardową sytuację. Był to rok chyba 2009, występował jamajski zespół Rootz Underground, była eskalacja szczęścia, coś niesamowitego. Stałem przed sceną i Stephen Newland, wokalista zespołu, zapytał mnie, czy mogę usunąć barierki. Podjąłem decyzję nieodpowiedzialną, ale czysto emocjonalną: „Dobrze”. Barierki zostały otworzone, na scenę weszło około 100 osób. Zespół grał, wszyscy skakali i w tej chwili masz na YouTube jedyny

występ Rootz Underground, gdzie na scenie jest 100 osób. Sami muzycy też wspominają to bardzo miło.

J.O.: Ja bym na to nigdy nie poszedł, bo słuchajcie, scena się może po prostu załamać. Słowo daję.

P.K.: Zdaję sobie z tego sprawę, ale wtedy podjąłem tak nieodpowiedzialną decyzję.

W.K.: Mam jeszcze jedno pytanie o programy dodatkowe. Czy to jest rzeczywiście potrzebne? Czy to tylko gra z konsumentem, który potrzebuje mnóstwa bodźców i taki przebodźcowany jest chyba najlepszy. Jak zobaczyłem program tegorocznej Małty, a w nim 260 wydarzeń, to stwierdziłem, że nie wiem, jak dokonać wyboru. Czy nie boicie się takiego nadmiaru, przekroczenia masy krytycznej?

M.M.: Nie boimy się z jednego powodu: od paru lat robimy Małtę w takim duchu, że co roku jest pewien rodzaj tematu czy idiomu. To jest taka linia. Ileś spektakli, ale też ileś działań wokoło – forum, dyskusje, wydawnictwa, debaty z uczestnikami, debaty z ekspertami. Jeżeli jest jakaś linia, hasło i kontekst, to ja bym się nie bał tej wielowątkowości festiwalu. Poza tym w przypadku Małty jest tak, że są bardzo różni odbiorcy, z różnych grup społecznych. I mają swoje oczekiwania.

J.O.: Myślę, że to jest naturalne. W pewnym momencie za namową Wojtka Morawskiego i Zbyszka Hołdysa usiedliśmy u nas w fundacji i Zbychu powiedział: „Coś jeszcze byśmy

dali”. I powstała Akademia Sztuk Przepięknych (ASP), miejsce, które już żyje własnym życiem, w którym mamy gości takich jak ksiądz Boniecki, Lech Wałęsa, Stanisław Tym. To są sytuacje, kiedy uczymy ludzi, jak powinniśmy dyskutować. A więc ja bym się nie bał pokazać *Golgoty...*, bo bym wiedział, że tych ludzi uczymy, że można mieć zdanie przeciwne, ale wymagany jest wzajemny szacunek. Festiwale powinny być takim tygłem w dzisiejszej Polsce, w którym ludzie ze sobą rozmawiają. Mnie się marzy, żeby na ASP spotkali się globaliści i antyglobaliści, żeby przyjechali bankierzy ze świata i powiedzieli, co robią z pieniędzmi. I żeby antyglobaliści ich wysłuchali, bo się nigdy nie mogą spotkać. Wierzę, że na ASP chociaż wysłuchaliby się nawzajem. Nikomu by się krzywda nie stała.

Jedna rzecz, której nie chcemy rozkręcać, to jest to, żeby było iks scen. To jest dla mnie coś abstrakcyjnego, niedobrego. Byłem na paru festiwalach, na których świetni artyści są zabici przez jeszcze świetniejszych artystów występujących w tym samym czasie. Mamy trzy sceny: dużą, małą i Pokojowej Wioski Kryszny, i już więcej nie chcemy. Za to jesteśmy dumni z tego, że możemy pokazać wieczorem teatr, że jest muzyka jazzowa.

A.Z.: Slot tak się zaczął, że na początku był tylko koncert... A kiedy w 2001 roku przenieśliśmy się do Lubiąża, mieliśmy poczucie, że na tym polega specyfika i unikalność Slotu, że to jedyny festiwal, w którym jest tak wiele form i tak wiele tematów współistniejących. Potem obserwowaliśmy, że



nagle wszystkie festiwale się takie stały i nie jest to już żaden wyróżnik. Ale to jest coś, co nas niesamowicie cieszy, bo wynika z naszej filozofii myślenia o festiwalu.

J.Ż.: U nas oprócz kina, wystaw fotograficznych i spotkań z muzykami proponujemy jeszcze promocje lokalnego jedzenia.



Slot Art Festival, fot. Ola Zawada

Co spotyka się z bardzo dużym zainteresowaniem, bo nigdzie chyba w Polsce ludzie nie zjedzą takich kartaczy, babki ziemniaczanej, kiszki ziemniaczanej i innych podlaskich produktów.

J.O.: Nawet nie próbuj o kiszce ziemniaczanej mówić.

J.Ż.: Dlaczego?

J.O.: Bo wiesz, jaką my mamy babkę ziemniaczaną?!

J.Ż.: No dobrze, ale u nas jest tego naprawdę sporo. W tym roku przez cztery dni, dzień przed festiwalem i dzień po festiwalu, w centrum Goniądza szykujemy jarmark lokalnego jadła. Będzie można coś kupić, wypić, zjeść. A oprócz tego

Biebrzański Park Narodowy. To każdemu polecamy, tam można po prostu wsiąknąć na cały tydzień i zginąć.